
Trudno oprzeć się historii, epoce. Połykaliśmy mity, obrazy, idoli. Ulegało się powszechnemu szacunkowi dla... Brnęło się we wspólnotowy podziw. Machina tego przedziwnego PRL-owskiego systemu mitologizacji życia społecznego i sztuki działała świetnie.

A jednak życie toczyło się po dwóch torach – oficjalnym i ...nieoficjalnym. Czasami, a może często, przeplatały się te tory na różnych zwrotnicach. W kulturze też.

Było trochę takich, co przejęli się tymi mitami i obrazami. Takich, co trafili z Wielkiej Prowincji małych miast i miasteczek na „światową” listę rankingową, do Warszawy, po sławę i naukę. Byłem jednym z nich.

Pewnego dnia, w pewnym teatrze, elektrownia podczas przedstawienia wyłączyła prąd. Spektakl przerwano. Jakiś stary aktor zażądał świec: „Zapalcie kandelabry...i gramy...”. Zignorowano go. Wtedy zrozumiałem, że światła należało szukać gdzie indziej, bo Teatr i dziwnie uteatralnione życie wokół niego, same dla siebie źródłem tego światła być już nie mogły. Trzeba było rozpocząć poszukiwania, które z tymi akademickimi nie miały nic wspólnego. Dawne autorytety i figury roztrzaskały się w mojej głowie. Pejzaż stołecznej metropolii zmienił się w zimny i suchy step. Nie pozostało nic.

Dopiero wtedy zacząłem dostrzegać pojedynczych, czekających ludzi. Ostatnich „stamtąd”. Czekala też ich pamięć.

Pojawiły się sytuacje, ludzie, kultury i narody, opowieści, sprawy, o których nie miałem pojęcia. Pojawiły się miejsca, historie niegdyś nieistotne, bagatelizowane. Teraz nadające sens współczesności. Jak Zawadka Morochowska zmieciona przez ludzi z powierzchni ziemi. Pusta przestrzeń wypełniona grobami. Tu trzeba przystanąć, aby móc ruszyć dalej.

Bogdan Ślupczyński